

ROZMOWA Z ANNA DYMNA

# WIESIO MNIE ULEPIŁ

BEATA MATKOWSKA-SWIĘS: Porozmawiamy o mężczyznach, tych...

■ ANNA DYMNA: Ze mną o mężczyznach?!

...istotnych w Pani życiu zawodowym.

Czyli o ludziach, bo mężczyźni czasami, jak się okazuje, też nimi są. Dobrze, zróbmy sobie Dzień Mężczyzny. Zaczniemy od Jana Niwińskiego. To on, gdy chciała Pani zdawać na psychologię, zrobił Pani awanturę, wykrzykując, że nie po to tyle lat się Panią zajmował, aby zmarnowała Pani talent.

■ Wychowywałam się z siedmioma chłopakami, bo żadnej dziewczynki w naszej kamienicy nie było. I choć byłam typową dziewczynką, chciałam być taka jak oni. Lepiej od nich chodziłam po drzewach. Biłam się z nimi i nawet czasem wygrywałam. Strzelałam z procy. O tak, dawali mi w kłóść ci moi dwaj bracia i ich koledzy. I tak od dzieciństwa mężczyźni odgrywali ważną rolę w moim życiu.

Pierwszym z nich, poza tatą, był Jan Niwiński – mój duchowy ojciec. Nigdy później nie spotkałam tak dziwnego człowieka. Gdy byłam mała, myślałam, że to diabeł. Ten stary, emerytowany aktor mieszkał piętro niżej i często podglądaliśmy go, gdy, na przykład, pracował z Anią Polony i strasznie na nią krzyczał. Śmiałyśmy się z nich. Później zaczęłam chodzić do jego teatryku. Grałam tam najpiękniejsze role w życiu. Moim przebojem była Sierotka Marysia. Śpiewałam tańczyłam, gaśki pasłam, a Jaś Frycz grał króla. Jasio Niwiński spod swojej ręki wypuścił wielu wybitnych aktorów.

Ale Pani nie chciała być aktorką?

■ Poszłam na egzamin, bo krzyczał, że mnie zabije. Byłam nieśmiała. Poproszenie w sklepie o cukier było dla mnie przeżyciem. Byłam zaprzeczeniem kogoś, kto chciałby stać na scenie. I egzamin też był okropny. Ważyłam 46 kg i w białej sukieneczce mini, uczesana

w koński ogon wyglądałam jak 12-latką. Mówiłam teksty Słowackiego i Gałczyńskiego, a komisja umierała ze śmiechu. Nic przyjemnego. Później kazali mi się śmiać, a mnie się chciało płakać. Potem miałam płakać i strasznie się rozryczałam. I po tym wszystkim musiałam parodiować Karin Stanek. I taka zasmarkana śpiewałam „Rudego rydza”. A oni znów się ze mnie śmiali.

Mimo takich początków już na pierwszym roku zagrała Pani Isię w „Weselu” w spektaklu Lidii Zamkow.

■ To był mój pierwszy ważny reżyser. Nauczyła mnie, że nie mogę nigdy zagrać ot coś tak, dlatego uwielbiam pracować z wymagającymi reżyserami. A są i tacy – to nieszczęście aktorów – którym jest obojętne, jak gramy, bylebyśmy mieli nazwisko. Ostatnio ktoś taki mnie zaangażował. I choć to była tylko bajka, wymyśliłam sobie różne rzeczy i strasznie zapalona mu to opowiadałam. A on mi na to, żebyśmy grała, co chcę, bo jemu i tak jest wszystko jedno. Miałam ochotę go zabić! Co to za praca, kiedy reżyserowi jest wszystko jedno?

Już na studiach zaczęła Pani grać w filmie. I wtedy pojawił się chyba najważniejszy mężczyzna w Pani życiu – Wiesław Dymny.

■ Wiesia poznałam na planie mojego pierwszego filmu „150 kilometrów na godzinę” Wandy Jakubowskiej. Wtedy wydał mi się potworem. Ze spuchniętą twarzą bardziej podobną do chińskiej maski niż ludzkiego oblicza. A tak naprawdę spotkałam się, gdy grałam swoją drugą rolę w filmie Henryka Kluby „5,5 bladego Józka”. Dymny był scenarzystą. Dużo pił i budził we mnie lęk. Unikałam go. A nasza miłość zaczęła się od uderzenia w twarz. Dymny był mężczyzną, jakiego można tylko raz w życiu spotkać. Niezwykły człowiek. Niezwykły artysta.



Ale mimo uczucia nie było sielanki.

■ Był ode mnie 15 lat starszy. I nie wiem, skąd miałam siłę, by to wszystko przeżyć. Dymny to postać tragiczna. Miał się między tym, co w nim kołatało, a tym, na co pozwalała komuna. Mówiono mu, że to, co pisze, jest świetne, ale może lepiej byłoby, gdyby pisał o Hucie Katowice. I dlatego pił. Gdy odprowadzał mnie do teatru, a robił to zawsze i rano, i wieczorem, czy był trzeźwy, czy nie, wciąż go ktoś zaczepiał i ciągnął na wódkę. Dlatego nigdy nie piłam alkoholu, bo ktoś musiał go pilnować. A on to wpadał pod ciężarówkę, a to go milicjanci bili i wlekli pod drzwi domu. Nigdy nie wiedziałam, co zastaną po powrocie. A potem całe miesiące było wszystko dobrze. Życie z alkoholem jest piekłem i chyba musiałam go bardzo kochać, skoro umiałam to wytrzymać. Miesiąc po ślubie myślałam, że nie dam rady, ale po roku wiedziałam, że zniósę wszystko. Bo gdy nie pił godzinę, zapomniałam, co działo się przez tydzień. On nauczył mnie rzeczy, które do dziś pozwalają mi przetrwać najgorsze. I Wiesiek wciąż mi pomaga. Był obok w najbardziej niebezpiecznym dla mnie okresie. Stawałam się znaną aktorką. Może nigdy by mi się w głowie nie przewróciło, ale, cholera wie, co by było, gdybym miała kogoś głupiego przy sobie? On mnie ulepił. Mężczyźni, których później spotkałam, jeśli coś we mnie zobaczyli, to dzięki Wiesiowi. Powiedział mi kiedyś, że mam być normalnym człowiekiem. Śmieci sama wyrzucać, sama poradzić sobie z zatkaną toaletą. Bo jak zobaczy, że jestem gwiazdą, to mnie zabije.

likiem jest piekłem i chyba musiałam go bardzo kochać, skoro umiałam to wytrzymać. Miesiąc po ślubie myślałam, że nie dam rady, ale po roku wiedziałam, że zniósę wszystko. Bo gdy nie pił godzinę, zapomniałam, co działo się przez tydzień. On nauczył mnie rzeczy, które do dziś pozwalają mi przetrwać najgorsze. I Wiesiek wciąż mi pomaga. Był obok w najbardziej niebezpiecznym dla mnie okresie. Stawałam się znaną aktorką. Może nigdy by mi się w głowie nie przewróciło, ale, cholera wie, co by było, gdybym miała kogoś głupiego przy sobie? On mnie ulepił. Mężczyźni, których później spotkałam, jeśli coś we mnie zobaczyli, to dzięki Wiesiowi. Powiedział mi kiedyś, że mam być normalnym człowiekiem. Śmieci sama wyrzucać, sama poradzić sobie z zatkaną toaletą. Bo jak zobaczy, że jestem gwiazdą, to mnie zabije.

To już drugi mężczyzna, który groził Pani śmiercią.

■ O tak, mężczyźni dobrze mnie wychowywali. Dzięki Wiesiowi udało mi się zachować normalność. A to wysiłek. Popularność to stres, bo wszystkie sukcesy i porażki dzieją się publicznie. Starzejemy się, brzydniejemy w świetłach reflektorów. Aby zachować normalność, musimy mieć na początku tej drogi mądrych ludzi. Bo gdy nagle zaczynają cię traktować jak boga, łatwo dać się przekonać, że jest się kimś niezwykłym. A popularność mija, przechodzi na kogoś innego. Tu trzeba dystansu, a o to trudno młodeму człowiekowi. Jednak to nie tylko Dymny, najważniejszy, bo najbliższy, był moim nauczycielem. Już w szkole poznałam wielu wybitnych reżyserów, którzy pokazali mi, co jest w życiu ważne.

Konrad Swinarski, Jerzy Jarocki....

■ Swinarski nauczył mnie, że w pracy trzeba włożyć miłość. Bo jeśli kochasz to, co robisz, rosną ci skrzydła. I dlatego mam tyle siły do pracy, bo robię to, co kocham. A Jarocki uświadomił mi, że w tym zawodzie trzeba umieć myśleć. Był moim profesorem i kochałam go za to, że był potworem perfekcji. Potwornie wymagającym. Byłam zafascynowana, gdy kazał mi się człochać po scenie, choć widział, że wbijają mi się drzazgi w policzki. Płakałam, ale czułam, że jestem ważna, bo inaczej tak by mnie nie torturował. I na koniec pojawił się Kazimierz Kutz, dzięki któremu zrozumiałam, że uczciwie wykonywana praca sprawia radość. I choć rola Berty w „Wygnańcach” Joyce’a czy Anity w „Antygonie w Nowym Jorku” była ogromnym wysiłkiem, to dzięki Kazioviu praca była radością. Z nim mogę mieć 20 godzin nagrania, on może na planie ze mnie kpić, obśmiewać, bo czasem i takich metod używa. Może wymagać ode mnie rzeczy niemożliwych. I warto mu udowodnić, że się jeszcze coś potrafi. Nie tylko ja, wielu kolegów dla Kazia zrobiłoby wszystko.

Po urodzeniu syna, gdy przybyło Pani sporo kilogramów, wydawało się, że to koniec kariery. Wtedy Kazimierz Kutz zaproponował rolę w „Opowieściach Hollywoodu” Hamptona. I oswoił Panią z sobą nową.

■ Kutz nigdy nie pracował ze mną, gdy byłam młodszą, piękną dziewczynką. To prawda, że pozwolił mi przejść najtrudniejszy etap w życiu, bo gdyby nie on, pewnie nie wróciłabym do zawodu. Wszystkie najlepsze role zagrałam właśnie po urodzeniu syna. Choć wydawało mi się, że nie zmieszczę się na scenie. Że ludzie nie będą chcieli na mnie patrzeć. Miałam jakieś bezsensowne poczucie winy. Gdy Kazio zaproponował mi rolę w „Opowieściach Hollywoodu”, byłam pewna, że umrę ze wstydu. Na pierwszej próbie nie wiedziałam, jak się mam zachować. Wszyscy się na mnie gapili. I wtedy usłyszałam od Kutza: „No, Anka, teraz to jest z ciebie prawdziwa baba”. Poczulałam się taka zawstydzona! A po chwili krzyknął na całe studio: „Stara, gruba Żydowa na plan!” i zachichotał. To mnie wolał! I nagle się okazało, że mój wygląd nie ma żadnego znaczenia, bo co innego jest ważne. On nas nie oszczędza, ale jemu wolno. I choć traktuje nas obcesowo, jednak nie sprawia nam przykrości. To jeden z nielicznych reżyserów, który wie jak trudny jest nasz zawód. On chyba kocha aktorów i dlatego nas rozumie.

Gra Pani teraz w Starym Teatrze u Kazimierza Kutza w „Spaghetti i mie-

czu”. Znajoma oglądała ten spektakl i była zażenowana, że Dymna paraduje po scenie w kostiumie kąpielowym.

■ Jeśli Kazio uzna, że powinnam się rozebrać, to robię to. Wierzę mu i nie zastanawiam się, jak wyglądam. Jestem po prostu aktorką, a w tym zawodzie niezbędna jest odwaga. Choć mniej jej potrzeba, by w moim wieku i przy mojej tuszy rozebrać się do kostiumu kąpielowego niż wtedy, gdy muszę pokazywać na scenie emocje. Kazio nauczył mnie tej odwagi i być może niektórzy mówią: „Ależ ona wygląda!”. Ale inni może pomyślą: „Taka fajna aktorka odważyła się rozebrać, więc może i ja w tym roku odważę się wyjść na plażę”. Pewnie w „Spaghetti i mieczu” kompromituję się, ale guzik mnie to obchodzi.

Trudniej pokazać emocje niż ciało, bo każdy chowa się za jakąś szybą. W „Nocy Walpurgii” Jerofiejewa jest scena, gdy Pani wyje z rozpaczy. To jest tak prawdziwe, że aż nie do zniesienia.

■ Nie boję się pokazać agresji czy rozpaczy. Choć czasem, tak jak w „Nocy Walpurgii”, nieświadomie przekraczam granice. Nie wiedziałam, jak można zagrać tak straszliwą rozpacz, i gdy ruszyła kamera, zaczęłam krzyczeć, płakać i myślałam, że chyba mi dobrze idzie, bo lzy są prawdziwe. A gdy skończyłam, Kazio stwierdził, że wszystko dobrze, ale mam to zagrać raz jeszcze tak, jakbym była wchrem wyjącym nad stepami Ukrainy. I zrobiłam, co kazał, choć nie wiem jak. Nie pamiętam, co się ze mną działo. Choć pewnej granicy nigdy nie przekroczyłam, bo nie wszystko jest na sprzedaż. Ktoś powiedział mi kiedyś, że nigdy nie będę wielką aktorką, bo mam tę barierę. To prawda. To wydobywanie emocji i te akty odwagi tyleż nas wyczerpują, co wzmacniają. To swoista psychoterapia. W jakimś sensie jesteśmy i dla siebie, i dla widzów. Arystoteles pisał o katharsis, o oczyszczeniu przez teatr.

■ Po to chyba ludzie chodzą do teatru. Ale też i nas on uspokaja. To dzięki pracy przetrwałam po śmierci Dymnego. Nie potrzebowałam psychologa, bo miałam teatr. I tak jest do dziś. Bez względu na to, co się dzieje w życiu, muszę się przebrać i wejść na scenę. To moja prywatna terapia.

Pewnie terapią jest też ogród.

■ To mój świat. Obok mieszka Andrzej Sikorowski. Rzadko się widzujemy, bo dużo pracujemy, ale raz na pół roku stajemy sobie przy płocie. Andrzej przy-

nosi butelkę piwa i tak sobie razem patrzy na Kraków, a skowronki nad nami latają. I wtedy myślę sobie, że piękne jest to życie.

Sama, bez pomocy ogrodnika, sadzi Pani drzewa, strzyże trawnik...

■ No pewnie, ale po takiej pracy okropnie boli kręgosłup. Zaczyna się wiosna, więc muszę przetrząść i napowietrzyć trawę. Potem tę darni zgrabić, a będzie tego ze dwie tony, wpełchnąć do worów i zwieźć. I nawieźć. A jakby tego było mało, za domem rosną mlecze, które potwornie się rozsiewają, i muszę je wyciągać szpikulcami, bo wyrwać się tego nie da. Co myśli Pani mąż, gdy widzi tę walkę z mleciami?

■ Pewnie czasem chciałby mieć taką gwiazdę, co to w długiej sukni i rękawiczkach chodzi, bo wówczas nie miałby wyrzutów sumienia. A tak, biedny, musi czasem mi pomagać. Bo najlepsza jest baba, co niczego nie robi. Przy takiej mężczyzna czuje się jak bohater. A z taką pracowitą jest dużo gorzej. I moi chłopcy chyba nie mają lekko ze mną, bo wymagam ogromnie dużo nie tylko od siebie, ale i od nich.

Są też inni mężczyźni w Pani życiu.

■ Są moi koledzy aktorzy, których, choć nimi są, nie traktuję jak zwykłych mężczyzn. Kiedyś w Australii, na plaży, pocałowałam czyjąś rękę na ramieniu. Krzyknęłam, ale gdy zobaczyłam, że to Mariusz Benoit, a nie jakiś obcy facet, machnęłam tylko ręką, powiedziałam uspokojona: „Ach to ty!” i odwróciłam się na plecy. Mariusz był obrzydzony, że nie traktuję go jak mężczyzny. No i musiałam jemu, Jankowi Englertowi i Krzysowi Kolbergerowi tłumaczyć, że są kolegami – aktorami, więc czymś więcej niż mężczyznami. Innym gatunkiem. Są wśród nich tacy, jak Jurek Treła, Jurek Bińczycki i Jaś Nowicki, którzy mieli wpływ na całe moje życie, choć podejrzewam, że nawet o tym nie wiedzą. Którzy zawsze byli przy mnie, gdy ich potrzebowałam. Trudno opo-

wiedzieć, jakie są te związki między aktorami. Bardzo się do siebie zbliżamy, gdy pracując, obnażamy przed sobą swoje dusze. Bez zaufania nie byłoby to możliwe. To jest taka bliskość, jakiej nie ma ani w rodzinie, ani małżeństwie. Ludzie pew-

nie będą mówić: „Głupoty opowiada. Przecież aktorzy się nienawidzą”. Ale dla takich kolegów można zrobić tyle, ile dla ojca, brata czy syna.

Ale to syn jest najważniejszym mężczyzną w Pani życiu.

■ Dziecko daje dystans. Czasem, by je mieć, warto postawić wszystko na jedną kartę. I nie trzeba z niczego rezygnować. Choć to wymaga siły. Traciłam przytomność ze zmęczenia, gdy trzy miesiące po porodzie zaczęłam grać w filmie i teatrze. Ale się opłaciło. Bo tak naprawdę nie rolę, lecz syn pozostał po mnie. A przecież o mały włos w ogóle bym go nie miała. I choć to nie jego zasługa, ten mój najmłodszy mężczyzna jest najważniejszy. Bo inni mężczyźni to rzecz nabyta. Przychodzą. Odchodzą. Choć tak naprawdę chciałabym mieć całe życie jednego i mam nadzieję, że nie grozi mi już żadna zmiana ani samotność. Ale syn, czy tego chce, czy nie, jest na zawsze mój.

Rozmawiała

BEATA MATKOWSKA-SWIĘS

W 1 TVP w niedzielę o 00:05 Anna Dymna w filmie Janusza Majewskiego „Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny”

••• Najciekawsze wywiady „Gazety Telewizyjnej” w internetowym portalu „Gazety”:  
www.gazeta.pl/tv